5715c

płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.I.1987 | 1

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— To jest koń na biegunach północnych czy południowych?

— To jest lalka, która chodzi i mówi, a chciałam taką, która by za mnie lekcje odrabiała!

— Dostałem bębenek, ale tata nie lubi hałasu w domu!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

RYBY też zapadają w zimowy sen, a niektóre gatunki śpią i latem.

Obniżenie temperatury wody w okresie jesienno-zimowym powoduje u ryb słodkowodnych odrętwienie, które można nazwać snem zimowym. Następuje zwolnienie akcji ich serca, nie pobierają w tym czasie pokarmu i przebywają na większych głębokościach.

W okresie letniej suszy, kiedy wysychają zbiorniki wodne, niektóre ryby zagrzebują się w mule dennym i, jak piskorz, potrafią tam przebywać nawet przez rok. Liny i miętusy w okresie wielkich upałów gromadzą się na dnie i zapadają w odrętwienie podobne do snu.

●

W NIEKTÓRYCH płytkich rzekach na Półwyspie Czukockim i na Alasce żyje jedna z najdziwniejszych ryb — dalia. W czasie silnych mrozów woda w rzekach zamarza tam aż do dna, a wraz z nią w bryłach lodu zamarzają też i ryby. Żadne inne zwierzę nie wytrzymałyby tak długo w niskiej temperaturze. Tymczasem dalia zaraz po rozmarznięciu wraca do normalnego życia.

NAJMNIEJSZĄ rybą na świecie jest spotykana w jeziorach na wyspie Luzon, w Archipelagu Filipińskim, pandanka pigmej, osiąga ona zaledwie 10—14 mm długości. Ryby te są najmniejszymi ze wszystkich współczesnych kręgowców.

Do najmniejszych ryb żyjących w naszych wodach należy cierniczek, który ma zaledwie około 4—5 cm długości, słonecznica — około 5 cm i ciernik — 5—7 cm długości.

Do najmniejszych ryb morskich żyjących w Bałtyku należy babka czarnoplamka, która ma 4—6 cm.

●

RYBY MORSKIE, podobnie, jak słodkowodne, padają ofiarą ścieków i trucizn. Stwierdzono, że wiele gatunków ryb zamieszkujących Bałtyk, opuszcza swoje siedliska. Ryby odznaczają się bowiem niezwykle czułym węchem i pod wpływem drażniących zapachów, smarów, ropy naftowej i innych zanieczyszczeń, znajdujących się w wodzie morskiej porzucają swe dotychczasowe środowisko. Dzieje się tak np. z płastugami i dorszami, które były dotąd stałymi mieszkańcami wód bałtyckich.

Nasza okładka:

O skibobach w Brennej przeczytacie na str. 28—29

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
BIBL. WSP
Nr. inw. 21475c 110/87 s. 5715c

KUR

Na wsze strony świata
wszem i wobec
Kur ogłasza:

— Kogo obraziłem,
przepraszam!

Kochane Panie Kury
i Wy Słodkie Pisklęta —
Nowy Rok
to Nowa jest Księga.

Zacznijmy ją zatem
szczęśliwie i zgodnie,
a kto z ludzi
naśladować nas zechce,

temu mówię:
Na zdrowie!

Tadeusz Chudy
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

ROSÓŁ

Dziś pani nie przyszła do szkoły. Staliśmy w szeregu na podwórzu i mieliśmy już wchodzić do klasy, kiedy nasz wychowawca powiedział:

— Wasza pani zachorowała.

A potem pan Dubon, wychowawca, zaprowadził nas do klasy. My go nazywamy „Rosołem". Oczywiście wtedy, kiedy tego nie słyszy. Nazywaliśmy go tak, bo on ciągle mówi: „Spójrzcie mi w oczy", a na rosole są oka. Ja z początku nie mogłem się w tym połapać, ale starsze chłopaki mi to wytłumaczyli.

Rosół ma duże wąsy, często wlepia kary, nie ma z nim żartów. Byliśmy więc niezadowoleni, że będzie nas pilnował, ale na szczęście powiedział nam w klasie:

— Nie mogę zostać z wami, bo muszę być u pana dyrektora. Spójrzcie mi w oczy i obiecajcie, że będziecie grzeczni.

Wszystkie nasze oczy spojrzały w jego oczy i przyrzekliśmy.

Zresztą my zawsze jesteśmy zupełnie grzeczni.

Rosół miał jednak jakieś wątpliwości i zapytał, kto jest najlepszy w klasie.

— Ja, proszę pana! — powiedział Ananiasz z dumą.

To prawda, Ananiasz jest pierwszym uczniem, a także pieszczoszkiem naszej pani; my go za bardzo nie lubimy, ale nie możemy go przetrzepać, ile razy chcemy, przez to, że nosi okulary.

— Dobrze — powiedział Rosół. — Usiądziesz na krześle pani i będziesz pilnował kolegów. Ja od czasu do czasu wpadnę zobaczyć, jak się zachowujecie. Powtórzcie zadane lekcje.

Rosół wyszedł, a Ananiasz, bardzo zadowolony, usiadł za stołem pani.

— A więc — powiedział Ananiasz — miała być teraz arytmetyka; weźcie zeszyty, rozwiążemy zadanie.

— Nie zwariowałeś przypadkiem? — zapytał Kleofas.

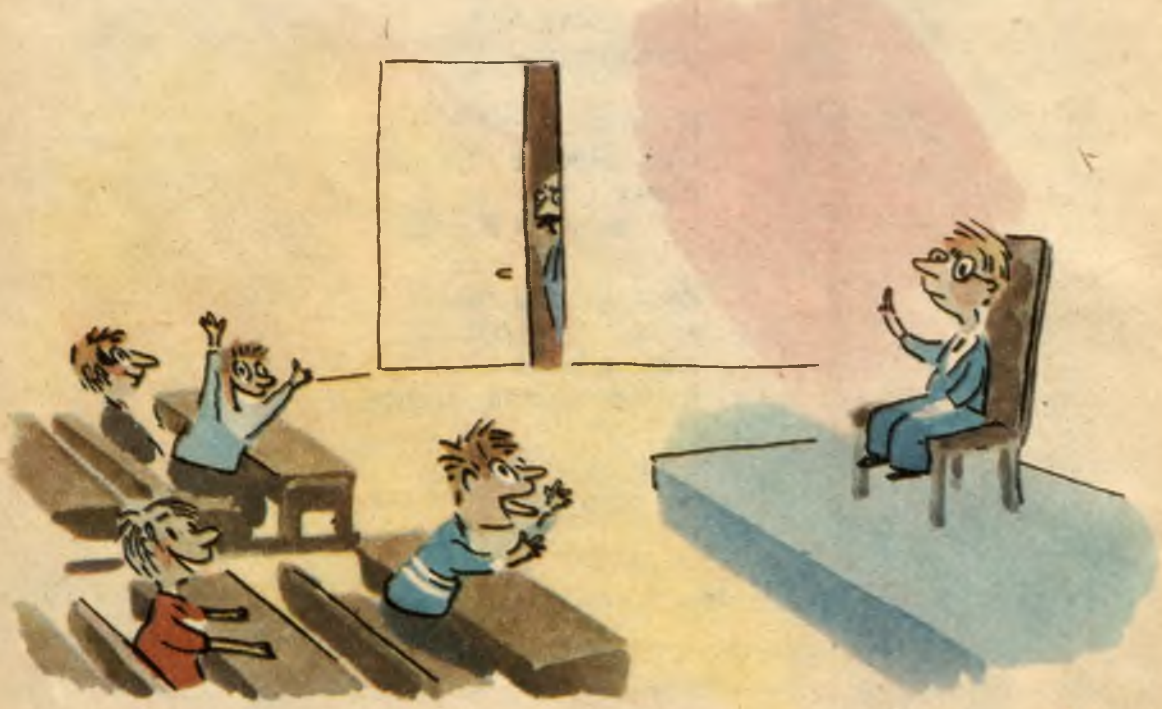

— Kleofasie, proszę być cicho! — krzyknął Ananiasz, który widocznie uważał, że jest naprawdę naszą panią.

— Chodź tu do mnie i powtórz, co powiedziałeś, jeśli jesteś mężczyzną! — powiedział Kleofas, ale drzwi klasy otworzyły się i wszedł Rosół z bardzo zadowoloną miną.

— A! — powiedział. — Stanąłem przy drzwiach i słuchałem. Hej, ty tam, spójrz mi w oczy! — Kleofas spojrzał, ale to, co zobaczył w oczach Rosoła, nie sprawiło mu specjalnej przyjemności.

— Będziesz odmieniał: „Nie powinienem być ordynarny wobec kolegi, który ma za zadanie pilnować mnie i który mi poleca rozwiązywać arytmetyczne zadanie".

To powiedziawszy Rosół wyszedł, ale obiecał nam, że jeszcze wróci.

Joachim ofiarował się, że stanie przy drzwiach, żeby nas uprzedzić, jak Rosół będzie szedł; zgodziliśmy się na to wszyscy prócz Ananiasza, który krzyczał:

— Joachim, na miejsce!

Joachim pokazał Ananiaszowi język, usiadł przy drzwiach i patrzył przez dziurkę od klucza.

— Joachim, czy nie ma nikogo? — spytał Kleofas.

Joachim odpowiedział, że nie widzi. Wtedy Kleofas wyszedł z ławki i powiedział, że teraz Ananiasz będzie musiał zjeść swoją książkę od arytmetyki. To był naprawdę pyszny pomysł, ale nie spodobał się Ananiaszowi, który krzyknął:

— Nie! Ja mam okulary!

— Okulary też zjesz! — powiedział Kleofas, który uparł się, że Ananiasz musi koniecznie coś zjeść. Ale Gotfryd powiedział, że po co tracić czas na głupstwa — lepiej zagrać w piłkę.

— A zadania? — zapytał Ananiasz z niezadowoloną miną.

Ale my nie zwracaliśmy uwagi na niego i zaczęliśmy podawać sobie piłkę — to okropnie fajne tak grać między ławkami. Kiedy będę duży, kupię sobie klasę tylko po to, żeby w niej grać w piłkę. A potem usłyszeliśmy krzyk i zobaczyliśmy, że Joachim siedzi na podłodze i trzyma się obiema rękami za nos. Rosół otwierał drzwi, a Joachim go nie zauważył.

— Co ci się stało? — zapytał Rosół, bardzo zdziwiony, ale Joachim nie odpowiedział, tylko pojękiwał, więc Rosół wziął go za ramię i wyprowadził z klasy.

Podnieśliśmy piłkę i wróciliśmy na miejsca. Rosół wrócił z Joachimem, którego nos był cały spuchnięty, i powiedział, że zaczyna mieć już tego dosyć i że jak tak będzie dalej, to on nam pokaże.

— Dlaczego nie bierzecie przykładu z waszego kolegi Ananiasza? — zapytał. — Jest taki grzeczny.

I Rosół wyszedł. Zapytaliśmy Joachima, co mu się stało, a on nam odpowiedział, że zasnął przy tym patrzeniu przez dziurkę od klucza.

— Gospodarz idzie na targ — zaczął Ananiasz. — W koszyku ma dwadzieścia osiem jajek po pięćset franków za tuzin...

— To przez ciebie oberwałem w nos — powiedział Joachim.

— Te-ek! — wtrącił Kleofas. — Ananiasz będzie musiał zjeść swoją książkę do arytmetyki, razem z gospodarzem, z jajkami i z okularami!

Wtedy Ananiasz zaczął płakać, powiedział, że jesteśmy obrzydliwi, że opowie o wszystkim swoim rodzicom i rodzice każą nas wszystkich wyrzucić ze szkoły. A potem Rosół znowu otworzył drzwi. My wszyscy siedzieliśmy na swoich miejscach i nic nie mówiliśmy, więc Rosół spojrzał na Ananiasza, jedynego, który płakał za stołem pani.

— No więc jak? — zapytał Rosół. — Teraz ty wyprawiasz jakieś hece? Zwariuję przy was! Za każdym razem, kiedy wchodzę, któryś błaznuje. Spójrzcie mi w oczy! Jeśli jeszcze raz zobaczę, że coś jest nie tak, jak trzeba, ukarzę was.

I znowu wyszedł. No więc uważaliśmy, że trzeba przestać błaznować, bo nasz wychowawca, kiedy jest zły, wlepia okropne kary. Siedzieliśmy jak trusie, słychać było tylko chlipanie Ananiasza i mlaskanie Alcesta, tego kolegi, co ciągle je. A potem usłyszeliśmy cichy szmer przy drzwiach. Zobaczyliśmy, że wolniutko porusza się klamka i drzwi skrzypiąc zaczynają się pomalutku uchylać. Patrzyliśmy i wszyscy wstrzymywaliśmy oddech, nawet Alcest przestał mlaskać.

I nagle ktoś krzyknął:

— To Rosół!

Drzwi się otworzyły i wszedł Rosół cały czerwony.

— Kto to powiedział? — zapytał.

— Mikołaj — powiedział Ananiasz.

— To nieprawda, ty wstrętny kłamczuchu!

I to prawda, że to nie była prawda, bo to powiedział Rufus.

— A właśnie, że to ty, właśnie, że to ty, właśnie, że to ty! — krzyknął Ananiasz i zaczął beczeć.

— Zostaniesz po lekcjach! — powiedział do mnie Rosół.

Więc zacząłem płakać, powiedziałem, że to niesprawiedliwie, że pójdę sobie ze szkoły i że dopiero pożałują, jak mnie nie będzie.

— To nie on, proszę pana, to Ananiasz powiedział „Rosół"! — krzyknął Rufus.

— To nie ja powiedziałem „Rosół"! — krzyknął Ananiasz.

— Ty powiedziałeś „Rosół", sam słyszałem, jak powiedziałeś „Rosół", właśnie „Rosół"!

— Dobrze — powiedział Rosół — wszyscy zostaniecie po lekcjach!

— A dlaczego ja? — zapytał Alcest. — Ja nie mówiłem „Rosół".

— Nie chcę już słyszeć tego głupiego przezwiska, zrozumiano?! — krzyknął Rosół, okropnie zdenerwowany.

— Ja nie będę odsiadywał! — krzyknął Ananiasz z płaczem i rzucił się na podłogę, i dostał czkawki, i zrobił się cały czerwony, a potem cały siny.

Prawie wszyscy w klasie krzyczeli albo płakali i myślałem już, że Rosół też zacznie płakać, kiedy wszedł dyrektor.

— Co się tu dzieje, Ros... panie Dubon? — zapytał dyrektor.

— Pojęcia nie mam, panie dyrektorze — odpowiedział Rosół. — Jeden wije się po podłodze, drugiemu krew leci z nosa, kiedy otwierałem drzwi, reszta ryczy, nigdy czegoś podobnego nie widziałem! Nigdy!

I Rosół zaczął targać sobie włosy, a jego wąsy poruszały się we wszystkich kierunkach.

Nazajutrz wróciła pani, ale za to Rosół nie przyszedł do szkoły.

Sempé i Goscinny
Rys. Julian Bohdanowicz

Tłumaczyły: Tola Markuszewicz i Elżbieta Staniszkis

(Fragment z książki „Rekreacje Mikołajka")

NOCĄ W ZIMIE

Mroźną nocą
płoty drzemią i drzewa.
Zima otula świat śniegiem.
Spadają gwiazdy.
Siadają na sosnach
jak lampki na choince.
I jest mroźnie.
I bardzo majestatycznie.

Ewa Zawistowska

ZAMKI NA LODZIE

Kiedy mróz na szybach i śniegi w ogrodzie,
budujemy sobie zamki na lodzie.

Jeden zamek dla ciebie na białym jeziorze,
drugi dla mnie na rzece albo dalej — w morzu.

W każdym długie krużganki, atłasowe sale,
światła, które jak gwiazdy bez przerwy się palą.

Okna wielkie, a w oknach widok tak szeroki,
że nie można go objąć przez dzień cały okiem.

Zaś pomiędzy zamkami latają gołębie,
mówią, że ty znów u mnie, ja u ciebie będę.

I że w zamkach na lodzie, gdzieś u krańca zimy,
za naszym starym ogrodem jutro zatęsknimy.

Józef Ratajczak

ZIMOWE KWITNIENIE SZYB

Białe poranki, białe wieczory
i noce białe z księżycem.
Mróz się na próżno dwoi i troi
rysując na szybach liście.

Wszystko, co stworzy, jest martwe, szare,
nie pachnie, nie szumi, nie rośnie.
Tylko płomienie ognia zuchwałe
kwitną gorąco, radośnie.

Kazimierz Śladewski
Rys. Wanda Orlińska

Złoty pierścień

Dawnymi laty na Dolnym Śląsku mieszkało trzech braci. Dopóki żył ojciec, bracia współżyli zgodnie. Można powiedzieć, że ojciec był z nich dumny. Ale stało się nieszczęście. Trudno dzisiaj dociec, z jakiej przyczyny nadwątlona skała stoczyła się na dno wąwozu, dość, że ojciec, człowiek pełen sił, został przygnieciony przez skałę razem z wozem i w jednej chwili rozstał się z tym światem. Kiedy już pochowali i opłakali ojca, okazało się, że bracia nie znają jego woli, jak mają podzielić po nim schedę. I w tej sprawie nie było między nimi zgody. Wreszcie najmłodszy z braci, Emil, żeby zakończyć swary, powiedział:

— Bierzcie, co chcecie, mnie wystarczy spłacheć ziemi tam, gdzie rosną sosny i jałowce.

Tak więc najstarszy brat pobudował młyn na rzece, a średni usadowił się po ojcu w kuźni. Najskromniej wyglądała chatka brata najmłodszego, pobudowana z dala od drogi na piaszczystym polu.

Pewnego dnia przed domem Emila zjawił się dziwny podróżny. Jego płaszcz i kaptur pokrywał kurz. Chodaki na nogach świadczyły o długiej wędrówce po kamienistych drogach. Długa siwa broda zasłaniała szyję i układała się falami na piersi. Skórzane rękawice osłaniały dłonie, trudno więc było odgadnąć, choćby z grubsza, czy są to ręce wyrobnika czy też człowieka innego powołania.

Podróżny skłonił się godnie najmłodszemu z braci i poprosił o kubek wody. Emil pospieszył z dzbankiem mleka i pajdą czarnego chleba.

Kiedy podróżny się już posilił, dziękując powiedział:

— Wiele podróżowałem, spotykałem różnych ludzi, ale tutaj było mi lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Gospodarz zaczął się usprawiedliwiać, że chociaż nie narzeka na swój los, żyje mu się skromnie, bo ziemia u niego marna. Chętnie jednak pomaga jeszcze skromniej żyjącym.

Podróżny mu przerwał, uprzejmie mówiąc:

— Kto dzieli się małym z innymi, dużo więcej zyskuje.

Potem zwierzył się Emilowi:

— Poszukuję pewnego ziela i, chociaż już sporo lat żyję na świecie, jeszcze go nie znalazłem. Może wasz lasek, gospodarzu, będzie szczęśliwszy dla mnie od innych?

— Proszę bardzo, chodźmy razem między sosny i jałowce — ofiarował mu swoją pomoc Emil.

Działka najmłodszego brata, jak wiemy, nie była duża. Szukali więc razem, to pod drzewami, to schylając się i rozgarniając gąszcze jałowców. Raz szedł przodem podróżny, raz gospodarz. W pewnej chwili Emil znieruchomiał ze zdziwienia. Oto w plątaninie krzewów zsunęła się rękawica z dłoni podróżnego. Na gołej ręce zajaśniał wielkim światłem pierścień. Był to kosztowny pierścień z drogocennym kamieniem.

— Nie wypada pytać, skąd takie bogactwo u skromnie podróżującego człowieka — powiedział do siebie, i, żeby ukryć zdziwienie, wysunął się do przodu.

Po chwili jakby coś zaszumiało, zahuczało, ni to skrzydła ogromnego ptaka, ni to rozstępująca się ziemia. Emil obejrzał się za siebie, ale podróżnego już nie było.

Najpierw zawołał cicho, a gdy nikt nie odpowiadał, zaczął głośno swojego gościa wołać. Na próżno.

Podszedł więc do miejsca, gdzie ostatni raz widział podróżnego. Na piasku w słońcu świecił złoty pierścień z drogim kamieniem, ten sam, co błyszczał na palcu podróżnego.

Jeszcze raz Emil przyzwał nieznajomego, lecz nikt się nie odezwał, nikt się nie pokazał. Wtedy sięgnął po pierścień. W chwili, gdy jego palce już, już dosięgały cennej pamiątki, pierścień zagłębił się w piasku. Wtedy Emil ostrożnie dłońmi odsunął kilka warstw ziemi i znowu ujrzał cenny przedmiot.

Szybciej niż poprzednio sięgnął po niego, ale i tym razem jeszcze szybciej pierścień pogrążył się w ziemi.

Kiedy dołek był już głębokości ramienia, najmłodszy brat Emil oznaczył miejsce gałązkami wrzosu i z chaty przyniósł wiadro, łopatę i kilof.

Długa i uporczywa była praca Emila. Zawsze, kiedy opuszczała go nadzieja, zaraz ukazywał się pierścień. Wreszcie, kiedy już głęboko wkopał się w ziemię, natrafił na coś, co przypominało litą skałę. Lecz nie była to warstwa kamienia ani też drewna. Ta niby skała dawała się łatwo łupać. W świetle dziennym jej grudy połyskiwały, jakby były przyprószone pyłem z drogocennego klejnotu. Emil łupał kilofem coraz więcej czarnych brył i wyrzucał na krawędź wykopu. Powstał z nich spory kopczyk.

— Rozpalę ognisko — powiedział do siebie, gdy poczuł zmęczenie — będę czuwać do północy. O tej porze zdarzają się czasem rzeczy niezwykłe.

Skulony, bo była już jesień, więc ziąb szedł od ziemi i z powietrza, patrzył Emil na ogień. Chyba zdrzemnął się trochę. Nagle posłyszał jakieś głosy, jakieś ludzkie pokrzykiwania.

— Nie mogą mnie tu znaleźć — zdecydował. — Muszę natychmiast zagasić ognisko.

Podskoczył i żwawo jął ciskać na ogień czarne kamienie.

— Co to, co to? — powtarzał raz po raz, coraz bardziej zdumiony. Czarne kamienie bowiem, rzucane w ogień, zaczęły się żarzyć i buchać błękitnymi płomieniami.

Wtedy zrozumiał, choć jeszcze tego nie uświadamiał sobie całkowicie, że to władca górskich skarbów, którego przyjął w gościnę, nazywany przez jednych Liczyrzepą, przez drugich Skarbnikiem, za przyjazną gościnność obdarzył go bogactwem węgla w rodzinnym gospodarstwie.

Bolesław Zagała
Rys. Przemysław Woźniak

Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

DZIKA AFRYKAŃSKA KOZA

Siedziałem wtedy w jednej ławce z Olkiem. Całymi dniami graliśmy w morską bitwę albo wymienialiśmy znaczki pocztowe. Pewnego razu Olek mówi:

— Jedźmy na mecz. Dzisiaj gra mój brat.

— Jak to brat? — mówię.

— No tak, brat — odpowiada Olek. — W drugiej drużynie. Jedźmy, sam zobaczysz.

— Nie mogę — mówię — jutro będę odpowiadał z geografii.

— Z geografii? — pyta Olek. — O, to głupstwo. Podpowiem ci, mam świetny system.

Pojechaliśmy na mecz. Rzeczywiście, Olka brat, Andrzej, gra na prawym skrzydle.

Następnego dnia odpowiadałem z geografii.

— No — mówi nasz nauczyciel — Powiedz nam, co wiesz o zwierzętach Afryki.

Na pewno mógłbym coś niecoś sam powiedzieć, ale jak głupi utkwiłem oczy w Olku. Jeżeli powiedział, że ma system, niech pomaga!

A Olek przyłożył rękę do nosa i porusza dłonią. Zaraz się domyśliłem.

— W Afryce — mówię — żyją słonie.

Olek przytknął palec do nosa.

— Nosorożce — mówię.

Następnie Olek zrobił taką straszną minę, oczy wytrzeszczył, zęby wyszczerzył. Nie wiem dlaczego pomyślałem, że to tygrys.

— Tygrysy — mówię.

Nauczyciel bardzo się zdziwił.

— Co? — powiedział. — Tygrysy?

Patrzę na Olka i kombinuję, co to mogło być

— No, nie... nie tygrysy... — mówię. — Omyliłem się. Wilki. To takie drapieżne i złe afrykańskie wilki.

— A może hieny? — mówi nauczyciel.

— Tak, tak, hieny — odpowia-

dam. — Po prostu zapomniałem tej nazwy.

A sam przyglądam się Olkowi. Cóż to za straszne zwierzęta te hieny, jeżeli podobne do Olka. To po prostu potwory.

— To straszne zwierzęta — dodałem. — Najstraszniejsze w Afryce.

A Olek jeszcze poruszył uszami i wysunął język. „No — myślę sobie, jeżeli takie są hieny to nie chciałbym się z nimi spotkać".

— No dobrze — mówi pan. — Wymieniaj dalej. Kto jeszcze zamieszkuje Afrykę?

Więc przypominam sobie krokodyle. I znów spoglądam na Olka. A on robi coś dziwnego: przystawił sobie rogi i wyciągnął szyję. Cóż to za zwierzę? O niczym takim nie słyszałem. Może jakieś specjalne afrykańskie zwierzę?

— Dlaczego nic nie mówisz? — pyta nauczyciel.

A ja patrzę na Olka. Czemu on wyciąga szyję i wargami porusza, jakby szczypał trawę.

— Ach — mówię — przypomniałem sobie — mieszka tam jeszcze dzika afrykańska koza z długą szyją.

— A jak ją sobie wyobrażasz? — pyta nauczyciel.

— Zwyczajnie — odpowiadam — jak kozę. Trawę szczypie. Tylko szyję ma wydłużoną.

— A jak się nazywa? — pyta pan.

— To zależy, jak ją gospodarz nazwie — odpowiadam. — Każda ma swoje imię.

Ale wtedy nauczyciel kazał mi usiąść.

Siadam w ławce, a Olek mówi do mnie:

— Ech, ty — żyrafa.

Obraziłem się. Nie tylko, że mnie nabrał, ale jeszcze przezywa.

— Dobrze — mówię — sam jesteś żyrafa. Nie chcę cię znać więcej i już. Ani twojego systemu.

Eugeniusz Rejn
Spolszczyła Hanna Ożogowska

ZIMOWA PIOSENKA KOTÓW

Przyszła do nas zima
zeszłej nocy,
świat przykryła białym
futrem kocim.

Po drabinie śnieżnej
zeszła z chmury,
rozwiesiła sople
jak pazury.

Przyszła do nas zima
białym rankiem,
wiesza srebrne chusty
i firanki.

Potem sobie siądzie
niedaleko,
wleje w mroźne szklanki
śnieżne mleko.

Dorota Gellner

GDYBY TO SIĘ NIE STAŁO

Bitwa rozpoczęła się w środę po lekcjach. Wyburzysko idealnie nadawało się do zabawy. Mało kto tędy przechodził, a zasadzek między nawiezionymi cegłami i rurami oraz dołami było dosyć.

Walczyli zawzięcie. Jedni i drudzy. Ale kodeksu rycerskiego przestrzegali jak należy: gdy tylko któremu rycerzowi wypadł np. patyk-rapier, przeciwnik go nie atakował, dopóki „rycerz" znów nie miał broni w ręce.

W pewnej chwili szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę „rycerzy Witolda", czyli Dominika i jego kolegów. Tak było w filmie i w historii też. Ale Marek chciał wygrać za wszelką cenę, ponieważ od dawna nie lubił Dominika. Skrzyknął swoich „Krzyżaków" i wydał komendę, aby udając, że się wycofują, wpędzić wroga między sterty płyt z betonu. Tamci dali się nabrać. Z głośnym „hura" pędzili naprzód z wyciągniętymi mieczami. A wtedy „Krzyżacy" natarli z boku, a „rycerze" Dominika, walczący tyłem do betonowych brył, co i raz na nie wpadali.

Nagle Marek dostrzegł tuż przed sobą „Witolda". Jeszcze chwila, a Dominik ugodzi go mieczem, ale w tej chwili zachwiał się, pochylił i wtedy „rapier" Marka ugodził Dominika w oko. Dominik krzyknął, wypuścił „miecz" i zniknął w znajdującym się obok dole. Chłopcy stłoczyli się nad nim. Dominik leżał bezwładnie, we krwi. Marek wykrzyknął jeszcze: „zabiłem go!" i dalej już niczego nie pamiętał. Jak przez mgłę widział ka-

retkę pogotowia, białe kitle lekarzy, uwijających się milicjantów. A potem słyszał czyjś głos: „żyje, ale stan bardzo ciężki".

Pamięta za to, jakby to było dziś, swoją wizytę w domu Dominika na drugi dzień po wypadku. I tę walkę, jaką toczył sam z sobą: iść nie iść? Czy matka Dominika go przyjmie? Czy zechce go wysłuchać? A co on jej powie? Że przeprasza, że żałuje? Śmieszne.

Na rogu stała kwiaciarka z koszem pełnym drobnych kolorowych kwiatków. Kupił bukiecik za pieniądze otrzymane na lody. I oto ściskając go drżącymi rękami stał przed tą bladą, zatroskaną kobietą! Stał tak dobrą chwilę i drżał teraz na całym ciele, nie mogąc wykrztusić ni słowa, nawet zwykłe „dzień dobry" nie chciało mu przejść przez gardło.

Wreszcie kobieta wyciągnęła ręce ku niemu i Marek wpadł ze szlochem w jej ramiona.

— Mam go tylko jednego. To całe moje życie — powiedziała.

— Ja nie chciałem, ja naprawdę nie chciałem... Nie wiem, co bym zrobił, żeby to się nie stało. I żeby Dominik był, był... jak przedtem.

Płakał zupełnie nie po męsku i czuł, jak z tymi łzami wypływa z niego niechęć do Dominika i rodzi się w jego sercu nowe, dobre uczucie.

— Dominik czuje się lepiej. Tylko jeszcze nie wiadomo, co z okiem.

Marek przychodził teraz co dzień dowiadywać się o stan chorego. Któregoś dnia matka Dominika powiedziała:

— Mówiłam mu o tobie. Chce, żebyś go odwiedził.

Marek nigdy nie zapomni tego widoku. Na białej pościeli... głowa szmacianej kukły. Spod bandaży widać tylko pukiel ciemnych włosów, jedno oko, koniec nosa, usta i brodę. Na kocu spoczywa prawa ręka w opatrunkach do łokcia i lewa zdrowa ręka.

Na szczęście Dominik spał i Marek miał dość czasu, by oswoić się z tym strasznym widokiem. Usiadł cichutko w nogach łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

— Cześć! — wyrwał go z gorzkich myśli głos kolegi. — Dobrze, że jesteś.

Marek zerwał się na równe nogi, a Dominik wyciągnął do niego zdrową lewą rękę. Uścisnęli się i tym uściskiem powiedzieli sobie chyba więcej, niżby to mogły wyrazić słowa.

— Przynoszę ci pozdrowienia od całej klasy...

— Co tam nowego?

— Arek spadł z roweru i zwichnął nogę. „Tyka" nie będzie z nami chodził na drugi rok, bo wyjeżdża z rodzicami do Katowic. A Maciek był w telewizji. Kazali mu opowiadać, czy jest na osiedlu boisko i plac do zabaw...

Nie zdążył mu więcej powiedzieć, bo weszła pielęgniarka i zabroniła dalszej rozmowy.

— Przyjdziesz jutro? — Dominik przytrzymał jego rękę.

— Będę przychodził codziennie — zapewnił gorąco. — A jak pozwolą na dłuższe wizyty, będę ci czytał lekturę. A potem odrobimy razem wszystkie zaległości.

To było niedawno. A teraz siedzą w poczekalni z mamą Dominika, czekają i czekają. Jak to długo trwa...

Wtem drzwi na końcu korytarza otwierają się, wychodzą dwaj lekarze, asystenci i pielęgniarki. Matka Dominika i Marek już są przy nich. W oczach mają ogromny znak zapytania. Jeden z lekarzy zapraszającym gestem wskazuje im drzwi.

Kobieta staje na progu, Marek nieśmiało zerka jej przez ramię. Naprzeciw nich stoi Dominik i patrzy na nich szczęśliwymi oczyma. Oboma.

Henryka Niemcowa
Rys. Zdzisław Byczek

DO WNUKÓW

Znacie to tylko z historii.
Płonęło to nasze miasto.
Wasi dziadowie widzieli,
jak wypalone już gasło.

Ale wrócili tu ludzie
z dalekich, najdalszych stron,
wrócili, aby budować
na nowo rodzinny dom.

A mieli ci wszyscy ludzie
marzenia skromne i proste.
Kto by pomyślał, Warszawo,
że w niebo strzelisz
wieżowcem.

Że będziesz się pięła wciąż wyżej
i ciągle wyżej w obłoki,
Warszawo zacisznych ogrodów
i strzelistości wysokiej.

Więc rośnij, moja Warszawo,
strzelista, smukła, skrzydlata,
moja Warszawo przyszłości.
w gołębiach,
topolach,
kwiatach.

Tadeusz Kubiak
Fot. Tadeusz Bukowski

ZIMOWE KWIATY

Lubię wieczorem,
idąc Nowym Światem,
Choć śniegiem zawiewa już styczeń,
Oglądać ciepłe, gorejące kwiaty.
Cóż z tego, że są elektryczne?

W jakim ogrodzie elektryk-czarodziej,
Choć mrozem od Wisły już niesie,
Hoduje takie świecące paprocie?
W jakim ogrodzie czy lesie?

Tu biały storczyk, tulipan, tam róże
Związane w wesoły bukiet,
Konwalie pną się w górę po murze
Nad białym i mroźnym brukiem.

A wtedy myślę o pewnym ogrodzie,
O kwiatach mej matki nad Wisłą.
Chciałbym je ogrzać,
by nawet na mrozie
Zakwitły czeredą świetlistą.

Fot. Józef Kicman

Tadeusz Kubiak

JAK TO SIĘ BAWIĆ

KONKURS NA ZABAWKĘ

Został ogłoszony I Międzynarodowy Konkurs na Zabawkę, Grę i Zabawę Przygotowującą do Życia w Pokoju.

To bardzo ważny, potrzebny konkurs. To taka jakby lekcja dla nas w Wielkiej Szkole Pokoju.

— A jakich przedmiotów powinniśmy, my wszyscy — Dzieci i Dorośli — uczyć się w tej Szkole?

Na pewno SZANOWANIA SIĘ nawzajem.

— Za co?

Za to wszystko, co każdy naród zdziałał, co stworzył w muzyce, architekturze, literaturze. A więc trzeba poznać nawzajem swoje bogactwa kultury.

Na pewno trzeba uczyć się ROZUMIENIA nawzajem.

Znaczy to m.in., że trzeba uczyć się innych, obcych języków. Tak uczyć się, tak je poznawać, aby nie były dla nas obcymi.

Trzeba nauczyć się też WYBACZANIA, aby przez całą wieczność nie nosić w sercu urazy sprzed 10 czy 20 lat. A więc koniecznie musimy popracować nad naszymi sercami i wyobraźnią.

I trzeba wreszcie, by dzieci zaczęły INACZEJ SIĘ BAWIĆ. Inaczej i innymi zabawkami. Nie okrutnymi, a pięknymi i pogodnymi. Naprawdę zabawkami.

xx

W skład Komitetu Organizacyjnego, który powołał I Międzynarodowy Konkurs na Zabawkę, Grę i Zabawę Przygotowującą do Życia w Pokoju, weszło 10 instytucji. Są wśród nich tak znane i bliskie Czytelnikom „Płomyczka" organizacje, jak: Krajowy Komitet Dziecka i Związek Harcerstwa Polskiego. Jest wśród nich Ogólnopolski Komitet Pokoju i oczywiście przedstawiciel producentów zabawek, Krajowy Związek Spółdzielni Zabawkarskich.

— A co uczyni w tej sprawie „Płomyczek"?

Będziemy stale przypominać o tym konkursie, który będzie trwał długo, bo do 1 września 1987 roku.

Będziemy informować, gdzie Dzieci i Dorośli, którzy zechcą wziąć udział w Konkursie, znajdą jego regulamin. I tak np. teraz, we wrześniowym 17 numerze „Płomyka" — naszego starszego brata — znajdziecie podstawowe informacje o tym konkursie.

Podajemy też adres, pod który należy przysyłać prace: Ogólnopolski Komitet Pokoju, 00-220 Warszawa, ul. Rajców 10.

Pod tym adresem przysyłajcie, Drodzy Czytelnicy, swoje projekty i pomysły zabawek, zabaw i gier. A jeśliby zapodział się Wam ten adres, to możecie przysłać swoje prace i pomysły do „Płomyczka". My je przekażemy do Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju.

Szczególnie piękne projekty zaprezentujemy Czytelnikom na naszych łamach.

Tadeusz Chudy

FOTOGRAFIA DLA SYNA — przesłanie na rok 2000

„Drogi Przyjacielu!

Chciałbym, abyś czytając ten list pomyślał o małym dziś człowieku, który skończy 18 lat w 2000 roku".

Tak zaczyna się mój list-zaproszenie (przetłumaczony na języki obce), który rozesłałem dwa lata temu, wszystkimi dostępnymi drogami, do fotografów, do redakcji i organizacji fotograficznych, w wielu krajach świata. Zwracałem się w nim do Nieznanego Przyjaciela z prośbą:

„Przyślij mi jedno zdjęcie dla syna. Może być ono wykonane specjalnie lub wzięte z Twojego archiwum (...)".

W swej fotograficznej twórczości za główny cel stawiałem sobie wtedy dokumentowanie czasu, w którym żyję. Wiele prac traktowałem jako zapis, który chcę zostawić swoim dzieciom — Małgosi i Michałowi.

Fakt, że Michał osiągnie pełnoletność w roku 2000, postanowiłem potraktować symbolicznie. I dlatego w zakończeniu swojego listu pisałem do Nieznanego Przyjaciela:

„Możesz w ten XXI, wiek przenieść za pomocą fotografii: przeszłość teraźniejszość lub wizję przyszłości. Kiedy już się zdecydujesz, którą fotografię przysłać, opatrz ją, proszę, osobistą dedykacją-przesłaniem dla Michała wraz z datą i podpisem".

„Światła jesieni"
PEDRO LUIS RAOTA (Argentyna)

Odpowiedź na mój apel przekroczyła wszelkie oczekiwania. Informacje o apelu zamieściło 40 czasopism z 16 krajów. Zdjęcia nadesłało 600 autorów z 26 krajów z 5 kontynentów. Dało mi to wielką satysfakcję i wynagrodziło 3-letnie starania. Poczułem się, jak nigdy dotąd, cząstką wielkiej rodziny człowieczej.

Wspaniałe w tym wszystkim jest to, że na apel zaczynający się od słów: „Drogi Przyjacielu", odpowiedziało tak wiele osób z całego świata.

Obejrzyjcie i Wy kilka fotografii nadesłanych do mnie w odpowiedzi na mój apel.

Bogdan Sarwiński

„Niech wieczne światło nigdy nie przestanie prowadzić ludzkości"
RICHARD SCARPITTA (USA)

„Pokój dla każdego — Pokój i wolność Szczęśliwych urodzin"
GERARDUS VAN MOL (Holandia)

„Dlaczego ja?"
PEDRO LUIS RAOTA (Argentyna)

MOSTY ŁYŻWOWE

Około roku 1615 nie było śladu po pierwszym stałym moście na Wiśle w Warszawie, zwanym mostem Zygmunta Augusta. Most ten postawiono w 1573 r. Kiedy uległ zniszczeniu, pojawiły się znowu na Wiśle promy i łodzie jako środki przeprawowe z Pragi do Warszawy. Taki rodzaj przeprawy wystarczał mieszkańcom stolicy. Zatory w przeprawie robiły się jedynie podczas elekcji. Wtedy wymogiem chwili stawało się usprawnienie przewozu przez Wisłę. Toteż sejm konwokacyjny (zbierający się przed każdą elekcją) uchwalił w r. 1632: „...aby obywatelom koronnym i Wielkiego Księstwa Litewskiego z stanowisk swoich na Elekcję przejeżdżającym, przeprawa na Wiśle się nie utrudniała; użyliśmy imci Pana Podskarbiego Koronnego, aby on... poruczył most pod Warszawą... na statkach zbudować..."

Od tego czasu przed każdą elekcją uchwalano budowę mostu łyżwowego, „na statkach", czyli jak byśmy dziś powiedzieli: pontonowego. Ale po elekcji mosty łyżwowe rozbierano. Zapytacie, z jakiego powodu? Przyczyna była jedna: ani król, ani „prześwietny Magistratus" nie mieli środków na utrzymanie licznej straży mostowej regulującej ruch, organizującej przepuszczanie statków, na techniczną konserwację łodzi i nawierzchni, rozbiórkę mostu w okresie wysokiego stanu wody, napierającej kry, zamarzania rzeki czy też na ponowne ustawianie go przy normalnym stanie wód.

Mosty łyżwowe pojawiały się również, gdy w Warszawie lub w pobliżu rozlegał się szczęk oręża. A były to przecież burzliwe lata, uwiecznione w Sienkiewiczowskim „Potopie" czy w twórczości Kraszewskiego.

Prowizoryczne, łyżwowe mosty budują wojska polskie, szwedzkie, saskie, rosyjskie.

W r. 1656 wybudowano cztery takie mosty. Pierwszy — będący dziełem Szwedów okupujących Warszawę, został zniszczony rozkazem marszałka Wittenberga na wieść o zbliżającym się do stolicy z odsieczą wojsku króla polskiego Jana Kazimierza. Drugi zbudował hetman Sapieha, gdy armia polska dotarła do okupowanej stolicy, i przeprawił wojsko na zachodni brzeg Wisły. Po zdobyciu Warszawy Polacy budują most trzeci, a następnie, wycofując się ze stolicy po przegranej trzydniowej bitwie ze Szwedami — palą go.

Czwarty most został zmontowany na rozkaz króla szwedzkiego Karola Gustawa przed ponownym zajęciem Warszawy.

Oczywiście, ludność cywilna nie miała z tych mostów żadnego pożytku. Po prostu wstęp na nie był zabroniony.

Sprawę zorganizowania stałej, godnej stolicy państwa, przeprawy przez Wisłę podejmuje Sejm Konwokacyjny przed wyborem na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Warto nadmienić, że po raz pierwszy w historii Warszawy Sejm nakazuje budowę stałego mostu na Wiśle na czas elekcji.

Jednak uchwały zostały na papierze. Bo otc

Most łyżwowy z XVIII wieku

Most pontonowy z 1945 roku

imć komendant Woyten, który ostro wziął się do dzieła, zmontował w ciągu kilku tygodni most... na łodziach, łyżwowy. Do jego obsługi zwerbował kompanię milicji mostowej, zwanej również kompanią pontonierów, która miała pobierać myta mostowe: od konia i bydlęcia po 3 grosze, od nierogacizny i człowieka pieszego po 1 groszu. Nie były to sumy małe, jeśli zważy się, iż uposażenie żołnierza tej kompanii wynosiło 19 groszy dziennie.

Pontonierzy otwierali również most dla przepływających statków, rozbierali go na zimę, stawiali na wiosnę, a także — w sytuacjach krytycznych obsługiwali łodzie i promy, które zawsze były w gotowości.

Taki stan rzeczy trwał do roku 1775, kiedy to podskarbi wielki koronny, jeden z najbogatszych magnatów polskich, książę Adam Poniński, późniejszy targowiczanin, zaofiarował się w zamian za prawo pobierania myta mostowego przez 10 lat zbudować własnym kosztem most łyżwowy. Sejm ofertę skwapliwie przyjął, a także zatwierdził proponowane przez Ponińskiego myto mostowe, które było większe od poprzedniego.

Most zbudowany w końcu 1775 roku u wylotu ulicy Bednarskiej nie cieszył się jednak uznaniem użytkowników. Oto, co na ten temat w dwanaście lat później pisała warszawska prasa, domagając się całkowitej jego przebudowy:

„... dla wąsko stojących łyżew, przez co statki i tratwy często rozbijają się, a stąd dwojaką szkodę ponoszą: raz rozbijający się szkoduje na rozbiciu się, a drugi raz, że gdy mostowi co uszkodzi, opłacać musi nieomal w dwójnasób..."

„... dla drogiej z niego opłaty, bo za wieczystym wystawieniem mostu można by przez połowę zmniejszyć mostowe..."

Mimo tych i innych uwag krytycznych most Ponińskiego służył stolicy aż do upadku Rzeczypospolitej.

4 listopada 1794 r. ostatni naczelnik powstania kościuszkowskiego gen. Wawrzecki wydał rozkaz zniszczenia mostu i osobiście uczestniczył w dopełnieniu tego aktu:

„... postarano się o zepsucie i podpalenie mostu, w czym sam Naczelnik w osobie swojej najistotniej przyłożył się, most sam podcinając i podpalając..."

Ciąg dalszy historii mostów łyżwowych na Wiśle w Warszawie — to czasy napoleońskie, kiedy budowano je dla potrzeb wojska, i czasy Królestwa Kongresowego, kiedy stawiano je dla potrzeb ludności.

Tak było do r. 1864, kiedy to Warszawa otrzymała stały most przez Wisłę, zwany od nazwiska jego twórcy — mostem Kierbedzia.

Ale mosty łyżwowe, zwane obecnie pontonowymi, pojawiły się znowu na Wiśle podczas I wojny światowej w r. 1915 i po wyzwoleniu Warszawy w 1945 r., kiedy to wszystkie inne mosty zostały zniszczone przez Niemców. Jeden most wysokowodny, wybudowany w styczniu 1945 r. przez saperów radzieckich, nie wystarczył.

7 marca 1945 r. u wylotu ulicy Ratuszowej saperzy ustawili most pontonowy, który w miesiąc później przeniesiono na Saską Kępę, rozebrano na okres zimy i ponownie zmontowano 4 kwietnia 1946 r., a więc warszawiacy na Pragę przedostawali się również popularnym „pontoniakiem".

Po oddaniu do użytku 22 lipca 1946 r. odbudowanego Mostu Poniatowskiego, most pontonowy został rozebrany.

Józef Zięba

HONOROWE WALKI

Zwyciężać nie znaczy zabijać

W okresie godowym większość zwierząt musi zdobyć dla siebie skrawek wolnej przestrzeni (czyli terytorium), uchronić go przed zakusami potencjalnych rywali oraz pozyskać przychylność jakiejś samiczki, by w przyszłości móc wydać na świat potomstwo. To sprawia, że w tym czasie zwierzęta nawet należące do gatunków uważanych za potulne i pokojowo nastawione do życia — stają się bojowe oraz przesadnie drażliwe. Nic też dziwnego, że w przypadku zatargów o terytorium czy o względy samiczki dochodzi do spięcia, a awantura wręcz „wisi" w powietrzu. Zanim jednak do niej dojdzie, zwierzę próbuje tak nastraszyć przeciwnika, by sobie poszedł, dobrowolnie rezygnując z niewczesnych zakusów na cudzą własność. Skoro jednak nawet najstraszliwsze groźby nie skutkują, a hardy, ufny w swe siły rywal nie zamierza się wycofać, wtedy takie nieporozumienie nieuchronnie przeradza się w walkę. Ale bardzo myli się ten, kto sądzi, iż walki zwierząt są przejawem nienawiści, okrucieństwa czy chęci mordu. Zwierzęta wcale nie chcą zabijać się wzajemnie — pragną jedynie zwycięstwa, pozwala im ono uwierzyć we własne siły, umacnia „dobre mniemanie" o sobie samym i, rzecz jasna, umożliwia utrzymanie swoich przywilejów. Aby to osiągnąć, wcale nie trzeba czyjejś śmierci. Oczywiście, czasami może się wydarzyć jakiś nieszczęśliwy wypadek, gdy jeden z zacietrzewionych wojowników przypadkowo śmiertelnie porani przeciwnika, ale w większości gatunków coś podobnego zdarza się rzadko. Najczęściej „bójka" między dwoma przedstawicielami tego samego gatunku kończy się bądź bezkrwawo lub mniej albo bardziej dotkliwymi obrażeniami, ale nie śmiercią.

Tchórzliwe zające i łagodne żyrafy

Sama technika walki zależy od „obyczajów" danego gatunku i rodzaju lub braku wojennego oręża. Zrozumiałe, że jak ktoś ma rogi, to ich używa, jeśli dysponuje długą szyją, potężnymi nogami, silnym ogonem czy pazurami, to oczywiście zrobi z nich użytek. Ale i te pozornie całkiem bezbronne zwierzęta — zapałem nie ustępują uzbrojonym wojownikom i „tłuką" się aż miło. Do takich zabawnych awanturników należy również... zając. To zwierzę, uosobienie łagodności, uznane za największego tchórza, strachajło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się w zadziornego zapaśnika, gdy na drodze jednego samca stanie inny samiec. Zajadli w swej pasji, głusi i ślepi na wszystko, muszą rozwiązać trudny problem: który z nich jest lepszy, silniejszy, bardziej zdeterminowany. Dwaj kipiący furią przeciwnicy skaczą na siebie, zadając sobie „mordercze" ciosy łapami. Na szczęście nie przynosi to nikomu większej szkody prócz, jak sądzę, kilku siniaków i kępek wyrwanej sierści. Wystarczy jednak donośniejszy szelest i... zajęczy ring bokserski pozostaje pusty.

Porównanie do meczu bokserskiego w odnie-

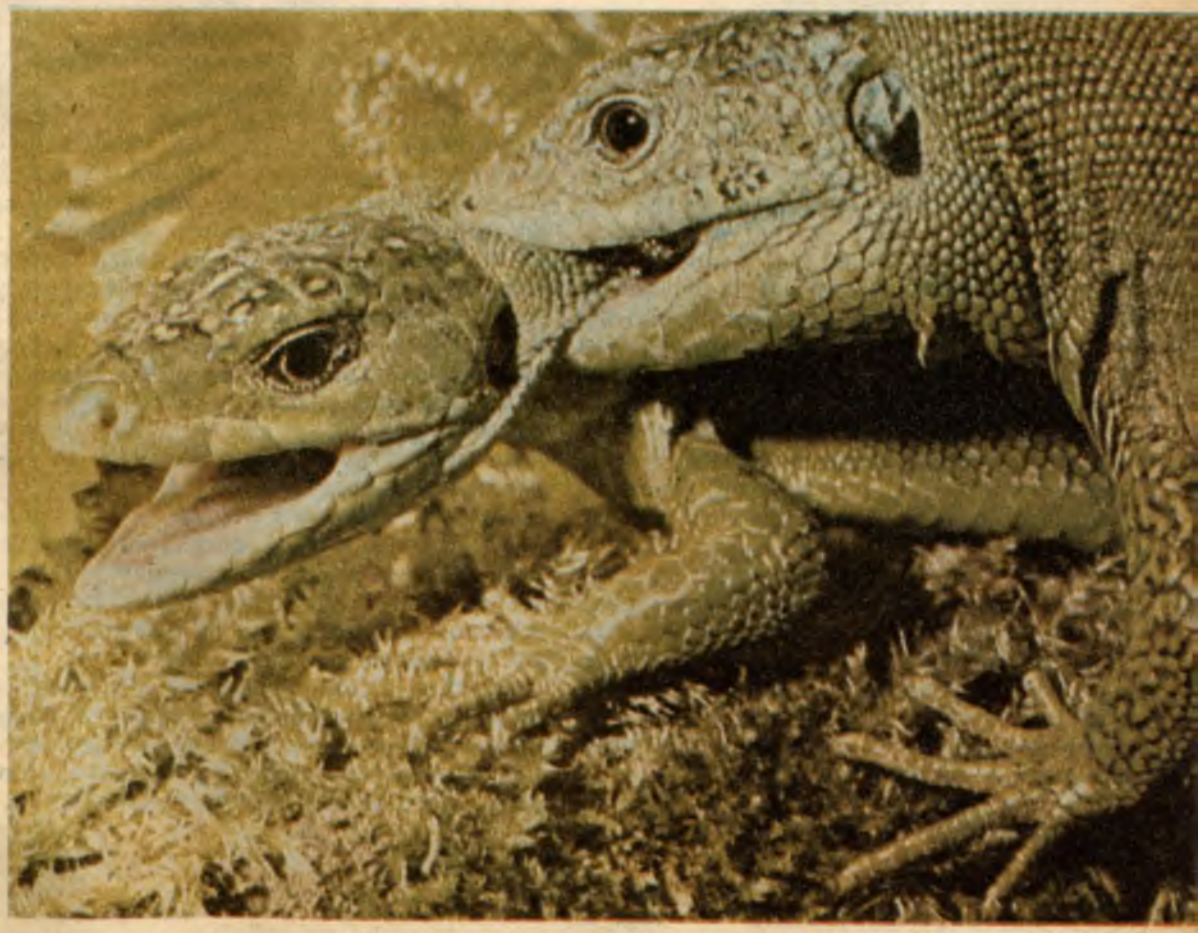

sieniu do zajęcy użyte zostało oczywiście w przenośni, bo w ich pojedynku można się dopatrzyć raczej jedynie niewielkiego podobieństwa do tego sportu. Za to kangury rozgrywają między sobą prawdziwe mecze, boksując się jak znamienici zawodnicy. Silne ogony umożliwiają im utrzymanie pionowej postawy i pełną swobodę w operowaniu łapami.

Ciekawą technikę walki prezentują żyrafy. Przeciwnicy, ustawieni jeden obok drugiego, okładają się wzajemnie głowami i szyjami. Dwie widoczne na fotografii żyrafy to wcale nie zakochana para, ale rozeźleni przeciwnicy w trakcie „zajadłej" walki. Po wymianie ciosów ten z walczących, który uzna swą przegraną, ratuje się ucieczką, podczas gdy zwycięzca goni za nim ze wzniesioną głową. W ten sposób manifestuje swoje zwycięstwo.

Ucieczka jest doskonałą formą obrony, dzięki której pokonane zwierzę cało wychodzi z opresji. Gorzej, jeśli tą szansa zostaje walczącym odebrana, gdy np. znajdują się w niewoli. W klatce nawet łagodny gołąbek może śmiertelnie poranić drugiego swym pozornie miękkim dzióbkiem. W warunkach naturalnych coś podobnego się nie zdarza.

Rycerski turniej

Gdybyście mieli okazję obserwować walczące jelenie, daniele, bizony, koziorożce czy inne, wyposażone w imponujące rogi zwierzęta, zauważylibyście pewne dziwne zjawisko. Otóż zadawane rogami ciosy trafiają nie w bezbronny, miękki bok, który można przebić bez trudu — ale wyłącznie w rogi przeciwnika. Mocno sklepiona czaszka i twarde poroże wytrzymują te uderzenia bez większego szwanku. Np. daniele co pewien czas przerywają walkę, unoszą głowy do góry, po czym któryś z nich odwraca się i rusza do przodu. Przeciwnikowi nawet do głowy nie przyjdzie uderzyć w jego odsłonięty bok. Odwraca się pośpiesznie i obydwa kroczą koło siebie, potem odwracają się i trach! — rogi zderzają się ponownie. I gdzie tu może być miejsce na okrucieństwo i podstępny mord?

Nie wszystkie „uzbrojone" zwierzęta mają właśnie rogi i ich walka nie przypomina jakiegoś utrwalonego przez lata rytuału, ale i tak ciosy zwykle trafiają w jakieś najmniej wrażliwe na uszkodzenia miejsce. Na przykład wilki większość ataków odpierają zębami, a zadawane rany nie są aż tak poważne, by miały spowodować śmierć przeciwnika.

Szlachetne wilki

U pewnych gatunków występuje niezwykle ciekawa forma obrony. Jeśli jeden z walczących w odpowiednim momencie podda się — zwycięzca nie czyni mu krzywdy. Obserwacje takie były prowadzone m.in. na wilkach. Od lat bezpodstawnie przypisuje się im najgorsze cechy. A to my, ludzie, powinniśmy uczyć się od nich rycerskości i honorowego rozstrzygania konfliktów. W czasie zajadłego starcia, gdy jeden z wilków czuje, że walka lada moment może się dla niego źle skończyć — nagle nieruchomieje i odwraca łeb. W ten sposób nie chronione gardło znajduje się tuż pod nosem silniejszego wilka. Cóż to za nieostrożność, przecież ten drugi zaraz go zagryzie i nastąpi okropny koniec. Nic podobnego! Koniec, owszem, nastąpi, ale koniec walki, a nie życia niefortunnego wilczka. Gest odsłonięcia szyi oznacza u tych zwierząt kapitulację, co natychmiast hamuje furię zwycięzcy. W ten sposób słabszy wilk ratuje życie. Gesty łagodzące, które hamują agresję przeciwnika, zaobserwowano i u innych zwierząt. Np. żuraw, chcąc uspokoić rozzłoszczonego rywala, podsuwa mu pod dziób swój czerwono ubarwiony i nie chroniony tył głowy. W efekcie zwycięzca, zamiast rąbnąć pokonanego dziobem w łepetynę, zostawia go w spokoju.

Wojna hien

Nie tylko w okresie godowym zwierzęta stają wobec konieczności dochodzenia siłą swych praw. Te, które silnie trzymają się jednego terytorium o każdej porze roku, narażone bywają na niespodziewane spotkania. Ponieważ terytorium może należeć do jednego osobnika, do pary małżeńskiej lub całego stada, zdarza się, że całe grupy zwierząt prowadzą między sobą coś w rodzaju wojny, a utarczki zdarzają się najczęściej na granicach. Obserwowano np. dwa skłócone stada hien, które stając po obu stronach niewidzialnej dla człowieka, bo oznaczonej charakterystyczną wonią, granicy swego państwa — zawzięcie sobie wygrażały. Dochodziło również do drobnych potyczek, gdy co bardziej popędliwe zwierzęta decydowały się „przyłożyć" któremu z wrogów. A że u siebie każdy czuje się pewniej, dochodziło nieraz do zabawnych sytuacji, gdy upolowany „po przeciwnej stronie" łup został hienom-intruzom odebrany przez to stado, na którego terenie zdobycz została złowiona.

Również członkowie stad lub rodzin muszą jakoś rozwikłać swoje nieporozumienia, a ich zazwyczaj łagodny i bezkrwawy przebieg umożliwiają właśnie odpowiednie gesty grożenia lub gesty, które łagodzą agresję przeciwnika.

Anna Siwkiewicz

TELEGRAM

DO DRUŻYN HARCERSKICH I ZUCHOWYCH

GŁÓWNA KWATERA
ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO
zaprasza
do udziału w konkursie
„HARCERZE WSPÓŁGOSPODARZAMI SZKOŁY"
stop
Warunki konkursu
w listopadowym numerze z 1986 r.
miesięcznika „DRUŻYNA-PROPOZYCJE" stop
Na uczestników
czekają atrakcyjne nagrody stop
ZHP zaprasza stop

Wiersze nagrodzone w Konkursie „WSZYSTKO, CO KOCHAMY"

W MOIM DOMU...

W moim domu
jest takie miejsce,
gdzie mogę
spędzić czas.
To okno.
Przez szybę widać
drzewo, na którym
ptaszek śpiewa.
Na którym jabłka rosną
soczyste i czerwone.
A za nim widać
pole, drogę i łąkę.
I to wszystko, chciałabym
namalować.

Aneta Dobrucka (10 lat)

PŁATEK ŚNIEGU

Płatek śniegu
to deszcz owinięty śnieżną pierzynką.
Podczas zawieruchy
jest on maleńką kruszynką.
Płatek śniegu spada i taje
a zima wciąż tych płatków,
dodaje, dodaje, dodaje...

Aneta Rycharska (7 lat)

„BESKID" w BRENNEJ

Beskidy to pasmo górskie na południu Polski. Ciągną się od wschodniej aż do zachodniej granicy. Od nich też wziął swą nazwę — Beskid", Ludowy Klub Sportowy w Brennej, który powstał w 1952 r.

Brenna to piękna wieś niedaleko Bielska-Białej, atrakcyjna dla turystów i latem, i zimą.

Dzieci z tutejszych trzech szkół podstawowych mają możliwość korzystania z uroków zimy dłużej niż ich rówieśnicy z miast. Jeżdżą na łyżwach, na sankach i na nartach, a także na skibobach — pojazdach podobnych trochę do rowerów na płozach.

Te dzieci, które zapiszą się do sekcji narciarskiej LKS „Beskid", trenują pod okiem instruktora — Stanisława Wieczorka — już od pierw-

szej klasy. Klub dostarcza im sprzęt, czyli narty różnego rodzaju: do biegania, do skakania i do zjazdów. Na treningi wozi dzieci klubowy autokar, młodsi trenują 2 godziny, starsi 3 godziny 2—3 razy w tygodniu.

Młodzi sportowcy należący do Klubu uprawiają narciarstwo klasyczne, czyli biegi i skoki. Najmłodszym urządza się półtoragodzinne wycieczki na nartach, pokazuje podstawowe elementy skoków.

W Brennej są trzy skocznie narciarskie przeznaczone do nauki. Tam dzieci skaczą na odległość 10—20 metrów, ale napierw muszą oswoić się z prędkością i wysokością na skoczni. Dla starszej młodzieży urządza się biegi na dłuższe dystanse, a także sprawdziany. Oni trenują też na najwyższej górze w Brennej, na Kotarzu.

Oprócz narciarskiej działają w Klubie „Beskid" sekcje: piłkarska, turystyczna i skibobowa.

Do sekcji skibobowej należała wicemistrzyni Europy w tej dyscyplinie sprzed kilku lat, Beata Tlołka.

Tutaj, w Brennej, odbyły się w ubiegłym roku Mistrzostwa Polski w skibobach.

Jak wyglądają skiboby i jak młodzież trenuje w LKS „Beskid" — obejrzyjcie na fotografiach.

Maria Czernik
Fot. Stefan Rutkowski

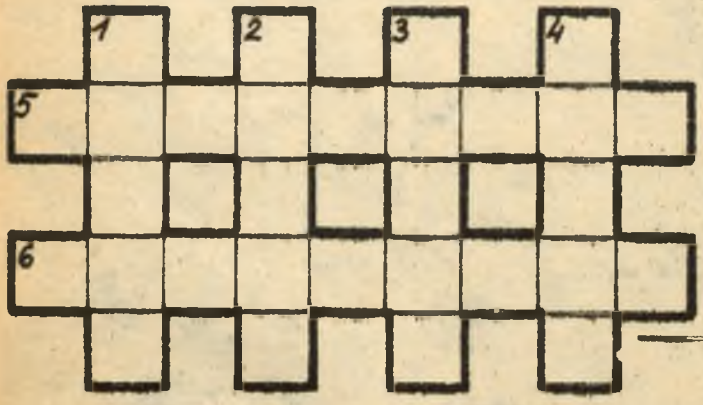

KRZYŻÓWKA

Do pustych kratek krzyżówki wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach.
Poziomo: 5. egzotyczne zwierzę z rogiem; 6. łódka z silnikiem.
Pionowo: 1. górski strumień; 2. barwa; 3. przeciwieństwo wojny; 4. niejedna w tartaku.

Zagadka 1

Każda radość czy też złość,
czy serdeczność, kość czy gość,
czy by chciał, czy nie chciał ktoś —
mają w sobie z ryby coś.

Zagadka 2

Znajdziesz ją zawsze w trawie,
wcale nietrudna to sztuka,
jest także w torcie, w Warszawie,
w ciastku jej nie ma, nie szukaj.

Anagram

Po odgadnięciu znaczenia rysunku w otrzymanym wyrazie należy tak poprzestawiać litery, aby można było odczytać jeszcze co najmniej 6 nowych wyrazów.

LABIRYNT

Oto cztery telefony, ale tylko jeden z nich połączony jest ze słuchawką. Spróbujcie odgadnąć, który to telefon?

NASZ ZWIERZYNIEC

KOLIBER

Kolibry są najmniejszymi ptakami na świecie, tak jak ryjówki najmniejszymi ssakami. Żyją na kontynentach zachodniej półkuli, w Ameryce Północnej, Południowej i Środkowej. Najmniejszego z nich spotyka się na Kubie, jest to — koliber hawański. Ma on wielkość naszego trzmiela, waży zaledwie 2 gramy, a rozpiętość jego skrzydełek dochodzi do 3,5 cm. Skrzydełka te są małe i dlatego, podobnie jak u owadów, muszą poruszać się szybko. Liczba uderzeń serduszka siedzącego spokojnie kolibra wynosi 615 na minutę, podczas gdy u naszej sikorki 420. Ciężar serca kolibra jest tylko 5 razy mniejszy od ciężaru jego ciała, czyli dość duży. Dla przykładu — serce wróbla jest 7 razy lżejsze od ciężaru jego ciała, a bażanta przeszło 20 razy. Z tak wielkiem sercem jak u kolibra można pozwolić sobie na prędkie latanie. Rzeczywiście, szybkość kolibra w locie jest wprost fantastyczna, ocenia się ją nawet na 450 km na godzinę. Temperatura jego ciała wynosi 43,5°. Tak więc koliber jest najmniejszym ptakiem, najszybciej lata, najwięcej ma uderzeń serca i skrzydełek oraz oddechów na minutę. Spożywa dużą ilość pokarmu, ponieważ ma bardzo szybką przemianę materii. Dotyczy to wszystkich małych ptaków: sikorek, gilów, jerzyków, jaskółek itp. Kolibry zjadają dziennie masę pokarmu dwa razy większą od wagi ich ciała. Pokarmem tym jest przede wszystkim nektar kwiatów oraz bytujące na dnie ich kielichów owady. Przystosowany do tego dzióbek kolibra jest długi i zagięty w dół lub ku górze, język zakończony dwiema rureczkami, którymi wysysa nektar. Obok rureczek jest pęczek szczecinek służących do dokładnego opróżnienia kielicha kwiatowego.

Gniazdo kolibra jest wielkości łupiny orzecha włoskiego, a jajeczko waży 0,2 grama i jest lżejsze od jaja strusia 6 tysięcy razy.

Kolibry różnią się między sobą odcieniami kolorów upierzenia. Ich krótkie i gładkie piórka mienią się odcieniami barwy niebieskiej, złotej, zielonej lub fioletowej, przy czym wszystkie one silnie metalicznie połyskują na słońcu. Ponadto kolibry mają dodatkowe ozdoby jak: czubki, kryzy, barwne piórka w ogonkach ułożone na kształt klinów lub widełek. No cóż, nasz bąk, kryjący się w sitowiu, ma strój szary, który go maskuje w jego środowisku, a koliber wśród kwiatów musi być kwiecisty.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 78 cm, kl. V, i rotogr. 120 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2134/86 A-10
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

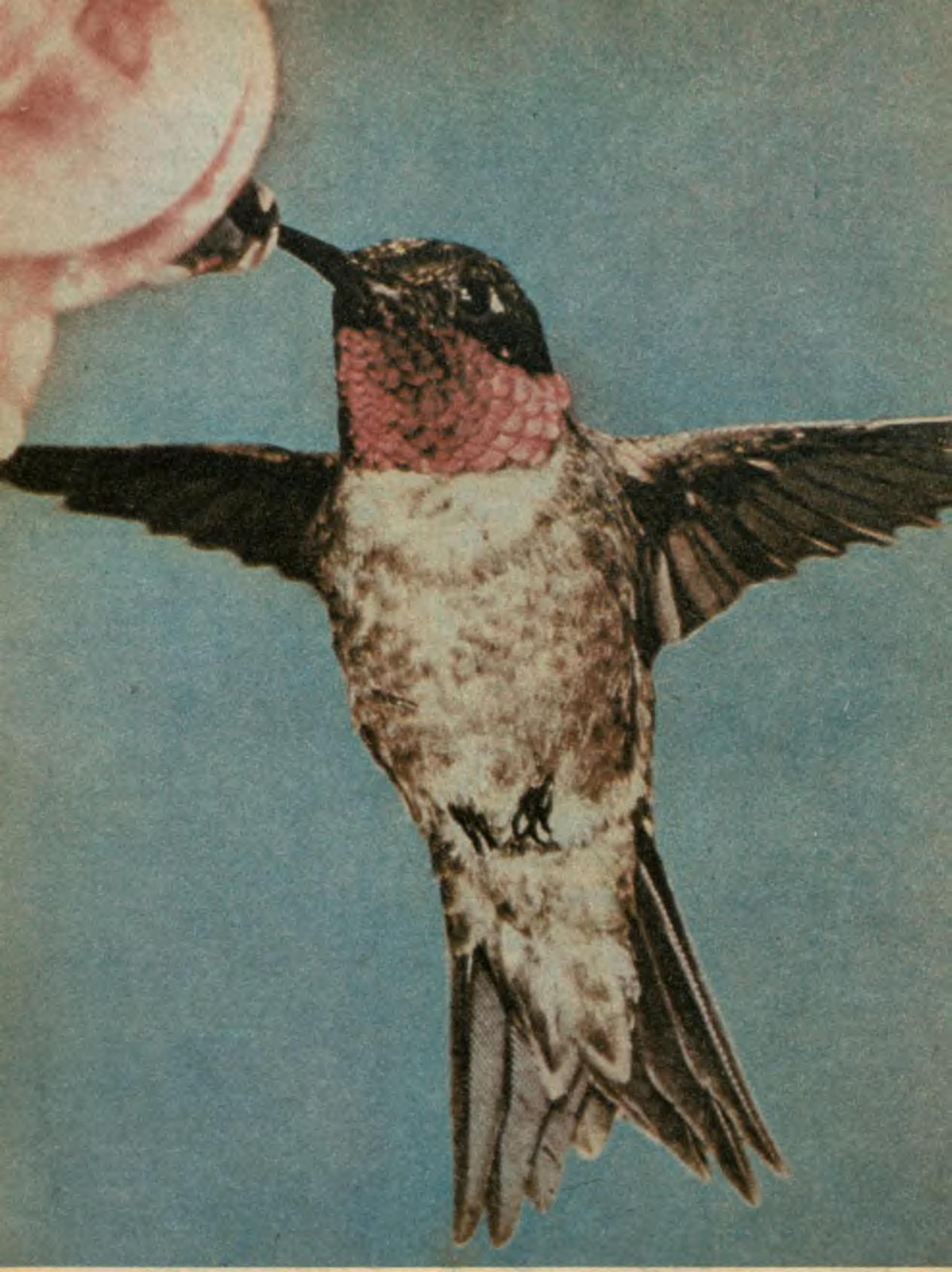

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

KOLIBER

Fot. Michał Wlaziński

CENA 20 ZŁ